

skatą! Węć gdy mnie ktoś napadnie i zabierze moją własność, ty nazwiesz to konfiskatą. Gdzież etyka? Gdzie sprawiedliwość?!

Bal spojrział zimnemi oczyma na szwagra, gdy Wanda zaczerwieniona uporczywie wpatrywała się w talerz.

— Mówmy spokojnie. Rabunek według kodeksu prawnego i etycznego jest to przywłaszczenie sobie cudzej osobistej własności pod grozą gwałtu lub śmierci na swą własną korzyść. Czy zgadzasz się z tą definicyą?

— No tak... zapewne — mówił miększym głosem — jeśli ktoś wychodzi z twego punktu widzenia, można to nazwać konfiskatą. Ależ im się udało! — uśmiechnął się z zadowoleniem — i powiadasz, że kwit dali i sztandar wywiesili? to tam muszą być wściekli!

— Potracili głowy zupełnie — dodał Kola.

— No, no, ależ to odwaga! I jaka to partya, Władziu?

— Polska partya socyalistyczna.

— Węć to nasi! Polacy!... Wiesz, tak między nami mówiąc, nie nie szkodzi, że zabrali kasę. I dużo?

— Dosyć — rzekł Bal niedbale — pół miliona, 47.940 rb.

— Co ty mówisz?! Aż tyle?!... Ależ to sprytnie bo znam tę kasę, mocna, wmurowana w ścianę... jest tam trochę i moich pieniędzy. Wolę jednak, że nasi z nich skorzystają, a nie rząd.

— Doszliśmy więc do porozumienia — śmiał się Bal — to bardzo mnie cieszy.

— Byle tylko szczęśliwie uciekli — westchnęła Stefcia — bo pewno wysłano w pogoń za nimi.

— Depesze, kozaków, strażników, żandarmów, wojsko, całą machinę despotyczną państwa — śmiał się Kola — a że ciężka i zużyta nie dogoni sprawców.

— Jaktó i pan się cieszy? — wyrwało się niechęć Żegielkiemu.

— Czyż dlatego, że urodziłem się Rosyjaninem nie czuję ucisku, krzywdy i tortur waszych i naszych? — mówił z odcieniem żalu.

— Nie chciałem obrazić pana, przecież pan moim gościem — uściśniętą rękę — ale co za zmiany, co za zmiany!... Najciężej będzie im jednak ze złotem, a mówił mi kasyer, że złota ma bardzo dużo, a papierów mało.

Przy wzmiance o złocie Wanda niemal, że się nie roześmiała, tak ją bawiła myśl, że ona właśnie przewoziła te ciężkie woreczki.

— Jak sobie poradzą, to już ich rzecz — powiedział Bal obojętnie — mówiłem o zasadzie, wykonanie do nich należy.

Na odjeździe wspomniawszy Władysława Żegielkim, że ciotka pragnie widzieć Wandę; podobno są jakieś zamiary matrymonialne.

— To bardzo szczęśliwie — powiedziała Stefcia — Wandzia się nudzi, tu niema stosownej partyi, a dobrzeby było, aby wyszła za mąż, bo różne niepotrzebne myśli roją się w jej głowie.

— Jakież to? — spytał poważnie.

— Ach wiesz, te niezdrowe idee o emancypacji, socyalizmie, równości itd. itd.

— Zatem Stefciu, za dwa, trzy dni napiszę i wyszlesz Wandzię.

— Dobrze, że mi powiedziałeś wcześniej, bo trzeba to i owo przygotować.

Naczelnik oczekiwał na nich z czarną kawą i likierami, a twarz jego w stosunku do miny, jaką miał rano, była jak zwykle dobroniuszka z odcieniem chytrłości.

W czasie picia kawy oznajmił naczelnik:

— Nu, zdawało się tej bandzie rabusiów, że puscili końce w wodę, a tymczasem tak nie jest... my już wiemy.

— To bardzo szczęśliwie — uśmiechnął się Bal — taka zbrodnicza napaść nie powinna ująć bezkarnie.

— Ot i pan sam powiada, że to zbrodnia i jest nią istotnie... i my odbierzemy swoje, a im szubienica. Czy nie tak?

— Bardzo słusznie.

Kola patrzył podejrzliwie na naczelnika i aż

go podnosiło, aby zajrzeć przez okno, czy kuferek jest na kozle, czy został zabrany? Powstrzymał się jednak i spytał:

— Zatem jest już ich ślad?

— Co tam ślad? Jaki ślad? — śmiał się złośliwie — ot samych zbrodniarzy my już mamy. Oni są w naszej mocy.

— I co to za jedni? — spytał Bal.

— Alboż nie znacie? Toż polska partya socyalistyczna, czysto anarchiści, rabusie. Jednego mam już w areszcie, a dwóch... — przerwał pijąc kieliszek i wpatrując się w swych gości.

Bal spojrział na zegarek i rzucił obojętnie:

— Kończmy kawę, bo możemy się spóźnić na pociąg.

— Mamy czas — uśmiechnął się naczelnik — toż wysłuchajcie o bandytach.

— Węć tych dwóch... — zaczął Bal.

— Złapali żandarmi w Białymstoku — kończył naczelnik z tryumfem.

— Aż w Białymstoku?! — zawołał już uspokojony Kola.



— To wy Macieju? — zawołał Marceli.

— Ta przekłeta swołocz zabrała się na furmankach, no, ale na dworcu ich przyłapali.

— Czy z pieniędzmi, bo to rzecz najważniejsza dla rządu.

— Co tam rząd, on tego nie poczuje, ale dla mnie, dla mego honoru, ot co!

— Węć są pieniądze?

— Jeszcze nie wiem, przywiozą ich dzisiaj wieczorem, nu, dam ja im!

Bal spojrział na zegarek i rzekł wstając:

— Spóźnimy się na pociąg.

— Nu, jedziemy... muszę do gubernatora... ot, służba! — westchnął.

Na dworcu naczelnik poszedł do biura telegraficznego, a Bal szepnął:

— Kola, jak sądzisz, czy to ich schwytano?

— Kogo?

— Młota i Marcela?

— Nie wiem... może oni — wskazał oczyma na nadchodzącego naczelnika, który zacierając ręce, uśmiechnął się:

— „Nu, każut, czto z diengamy... Sława Bohu!“

## V.

Młot i Marceli wraz z dwoma towarzyszami poszli szybko w kierunku Sosenek, gdzie miały na nich oczekiwać zamówione furmanki.

Z powodu coraz bardziej napływających chmur noc stawała się ciemniejszą i musieli się zjechać nawoływać, aby utrzymać łączność ze sobą.

— Podła noc, choć oko wykol — mruknął Młot potknawszy się o wybój na drodze.

— Po dniu maszerowałbyś wygodniej między żołnierzami — zażartował towarzysz.

— Ciszej — szepnął Marceli — jeszcze ktoś posłysz.

Szli dalej, napróżno wypatrując furmanek, w okół pusto i ciemno.

— A może zmyliliśmy drogę? — rzekł jeden z towarzyszy.

— Ej, nie — odezwał się Marceli — drogę znam dobrze, tylko taka cma.

Szli dalej, potykając się, to znów usuwając się w rowy, uderzając się o przydrożne drzewa. Zaparskał koń więc przyspieszyli kroku.

— To wy Macieju? — zawołał Marceli.

— Nie, to ja Bartek — rzekł jakiś głos z ciemności.

— Gdzież wy?

— Stoję z boku na drodze, może się ktoniebaż natknąć.

Przystąpili do wozu, zaprzężonego w jednego konia.

— Cóż się stało z Maciejem?

— Musiał jechać ze strażnikami, on i Wojciech sąsiad.

— A w w jednego konia? — dziwił się Młot.

— Drugiego dałem Wojciechowi, taka była umowa.

— Dowiedziecie nas czterech?

— Przy pomocy boskiej jakoś będzie.

Po krótkiej naradzie zdecydowali się jechać.

Na razie wypoczęty koń po ubitej kolei ciągnął wóz lekkim truchtem, lecz gdy droga stawała się piaszczystą, koń zwolnił biegu i szedł zwolna, jak w pługu.

— Popędzajcież gospodarzu, spieszno nam... dostaniecie na piwo.

Bartek raz i drugi śmignął batem, lecz koń na razy pozostał nieczuły i wlekli się dalej.

— Ileż liczycie gospodarzu do Sokołów?

— Mówią, że będzie trzy, a może i cztery mile, a widzi mi się, że prawda pośrodku.

— A droga dobra?

— Jak miejscami, bywa zła, bywa i dobra, zwyczajnie jak u nas — po chwili dodał: — a wam gdzie?

— Niedaleko Jabłonki budują gorzelnię, tak my za pracą — odpowiedział Marceli.

— To wam nie tędy — wstrzymał konia — trzeba się wrócić i na lewo.

— Jedźcie prosto — nalegał Młot — bo nasze narzędzia są przy

tej drodze.

— A gdzie?

— Wiecie, w tym dworze za lasem — rzekł jeden z towarzyszy.

— Hm, to albo we Wilgowie, albo w Terlicach, innego dworu za lasem niema.

— Tak, tak, w Terlicach.

— O to szmat drogi, może rankiem staniemy, bo szkapa setnie zmęczona.

I znów wlekli się krok za krokiem, nasłuchując w stronę miasta, czy nie dosłyszają trąbki, tupotu koni, nawoływania.

Po dwu godzinach takiej jazdy, gospodarz oświadczył, że musi koń odpocząć i zajechał przed gospodę.

— Dużośmy ujechali? — spytał Młot.

— Z miasta liczą bez mała milę, ale od nas mniej... Zejdźcie do karczmy — doradzał — bo z godzinę postoiemy.

— Z nas nie są takie bogacze, aby pić i jeść — rzekł jeden z towarzyszy — nam pilno do roboty, aby nas kto nie ubiegł.